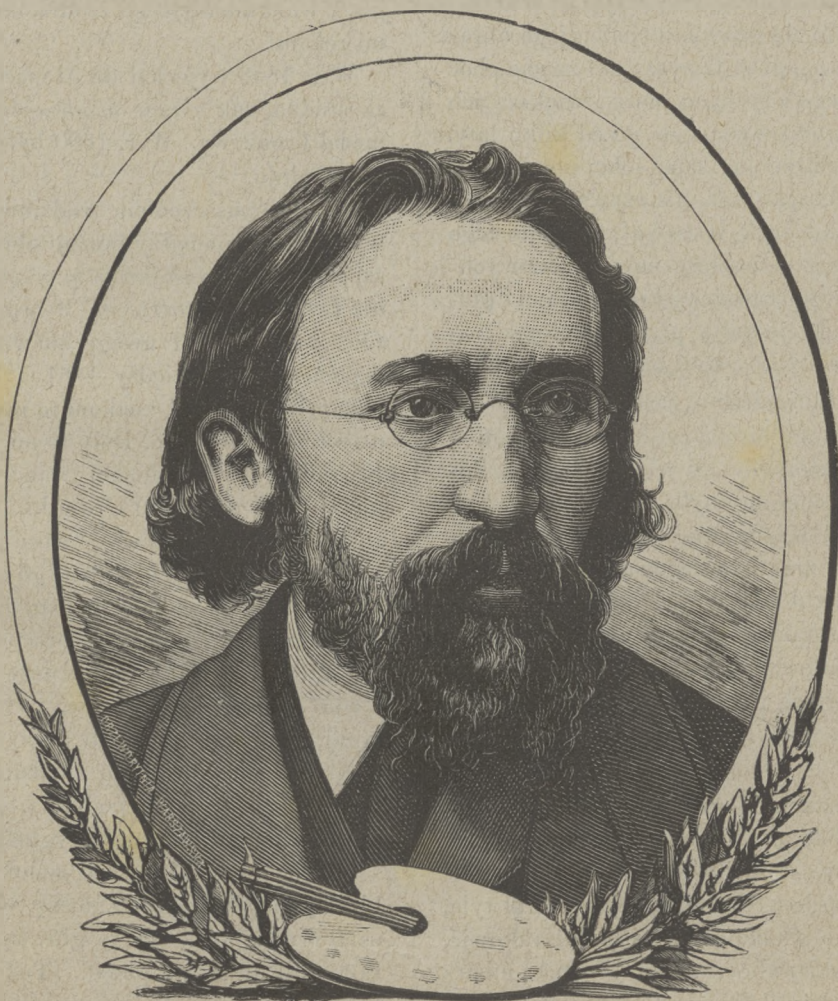




CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE  
DLA DZIECI.

---



Jan Matejko.



## JAN MATEJKO.

I któż z was, mili czytelnicy, nie słyszał tego nazwiska? Wszyscy, starsi czy młodszy, wiecie kto on jest, wszyscy go kochacie, chociaż nie widzieli, prawda? Wiemy, że radzi będziecie ujrzeć jego wizerunek, dla tego też go podajemy dla was w naszym piśmie.

Czém jest Matejko dla nas, czém jest dla Europy — ani mybyśmy nie zdołali wam powiedzieć, ani wy jeszcze tego pojąć nie potraficie. Te kilka słów, które tu o nim skreśliśmy, niech was zachęcą do poznania kiedyś, gdy wyrosiecie, tej najwybitniejszej postaci w dziejach naszego malarstwa.

Tym z was, którzy mieszkają w Warszawie, zdarzyło się pewnie niejedną jego obraz na wystawie oglądać; wszyscy zaś znacie choć kilka prac jego z rycin, a może i większą ich część z *Albumu*, wydanego przed kilku laty. Otóż, musieliście już sami sobie powiedzieć: „Jak ten Matejko zna historię!“ Tak, ten Matejko to historyk w całym znaczeniu tego słowa! To też przeszłość nasza zmartwychwstaje pod jego czarodziejskim pędzlem i prastare nasze dzieje stają przed nami jak widzenia! A nie tylko przed nami...

Matejko ma jeszcze tę zasługę, że uczy obce narody naszej historii ze swych obrazów — i nieraz ci, którzyby ani wiedzieli o nas, dowiedzą się czemśmy byli, a raczej, czém byli nasi ojcowie! Każdy woli spojrzeć na wspinały obraz, niż przewertować grubą księgę. Matejko, jak dobry syn, ze starych, na wół zatartych medalów i monet, pieczęci i pergaminów, z grobowców i posągów, odwzorowywał rysy naszych pradziadów, wzbudza przez to cześć dla nich i nie daje pamięci ich zagasnąć.

Artysta nasz urodził się w Krakowie dnia 30 Lipca 1838 r. Ojciec jego pochodził z dawnej rodziny czeskiej i był nauczycielem muzyki. Z własnej, ciężkiej pracy uzbierał tyle, że kupił nie wielką kamienicę w Krakowie, na Floryańskiej ulicy, w której się nasz mistrz urodził i w której do dziś dnia mieszka. Pierwsze nauki pobierał Matejko w szkole gim-

nazywalnej św. Anny w rodzinnym swym mieście; potem, jako uczeń szkoły sztuk pięknych, doskonalił się w swym zawodzie naprzód pod kierunkiem Wojciecha Stattlera, a następnie Władysława Łuszczkiewicza. Młodzieńcem jeszcze będąc, dostrzegł, jakie posiadamy bogactwo materyałów historycznych, z których nikt jeszcze nie korzystał; rozejrzał się jak orzeł po widnokręgu naszych dziejów, podsłuchiwał nową grobowców i pomników, które dla innych milczały a dla niego tak były wymowne! W gronie swych towarzyszy badał z miłością synowską pamiętniki starego Krakowa i nabrał już wtedy tej samodzielnności, która tak wybitnie cechuje jego dzieła. Odwieczny gród Krakusowy wypowiedział mu wtedy wszystkie swoje tajemnice, które on w sercu swym zachował i żądał teraz jak z wiecznie bijącego źródła, czerpie pełnymi rękami.

W r. 1858 wyjechał do Monachium, gdzie za studia, tak zwane *akademickie*, otrzymał medal brązowy. W r. 1860 był w akademii w Wiedniu.

Przed opuszczeniem rodzinnego miasta wymalował pomiędzy innymi obraz, wyobrażający *Karola Gustawa przy grobie Władysława Łokietka w katedrze na Wawelu w r. 1655*. Obraz ten zwrócił uwagę znawców na młodego artystę. Pomiedzy 1861 a 1863, z pod jego pędzla wyszły znakomite utwory, które utrwaliły jego sławę. Były to między innymi: *Kazimierz na Bielunach*, *Stańczyk*, *Kochanowski nad zwłokami Urszulki*, a nadewszystko *Skarga*. Złotousty nasz kaznodzieja przedstawiony jest w chwili, gdy wobec *Zygmunta III-go* i całego dworu, jakby proroczym duchem natchniony, przepowiada klęski, które spadną na kraj, jeżeli się naród z win swych nie otrząśnie. „Godzina kary bożej, mówił, już wybijać zaczyna; kto uszy ma ku słuchaniu, niech słucha.“ Piękności tego obrazu opisać niepodobna, ale chyba go wszyscy znacie, jeśli nie z oryginału, to z kopii.

A *Kochanowski* nad zwłokami *Urszulki*, czyście widzieli? Żalony ojciec składa ostatni pocałunek na tę główkę, którą tyle razy tulił do swych piersi... Tuż obok zmarłej dziewczynki, na brzegu trumny, zwiasta gałązka zwiędłej róży... niby symbol zawcze-

śnie zgasłego dziecka. Ojciec—poeta, zda się mówić w tej chwili:

„Wielkieś mi uczyniła pustki w domu moim!“

A Wit Stwosz, ten niewidomy nasz i nie-szczęśliwy snycerz, którego córka wprowadza do kościoła w Norymberdze? Ociemniały starzec szuka ręką krucyfiks, wiszącego na ścianie, jak gdyby w dotknięciu stóp ukrzyżowanego chciał zaczerpnąć nowych sił do zniesienia najokropniejszego z kalectw. A ta jego dziewczeczka! Jaka boleść w jej spojrzeniu! Jak widać, że onaby chętnie ojcu jedno ze swych smutnych ocząt oddała! Jeżeli nie znacie tego obrazu, to mi was żal serdecznie.

Matejko i swoje dzieci nieraz malował. Na jednym z tych portretów, na tle przepysznej makaty widać wdzięczną grupę, złożoną z trojga dzieci, obok których artysta uwiecznił ich ulubieńca, ślicznego psa.

A znacie takie arcydzieła, jak Mikołaj Kopernik, Zygmunt August i Barbara, Zygmunt August w Lublinie w 1569 r., Otrucie Bony, Stefan Batory pod Pskowem, Iwan Groźny, Wieszczba ukraińskiego lirnika, Wyrok śmierci i t. p.? Czemuż nie możemy wam choć kilka słów o każdym powiedzieć? Czy jest co pyszniejszego jak *Poświęcenie dzwonu Zygmunto-wskiego*, naprzykład? Nie możemy się powstrzymać od pobieżnej choć wzmianki o tym utworze Matejki. Wicie, że na Wawelu, na wieży, obok zakrystyi katedry krakowskiej, zawieszony jest dzwon największy w Polsce, zwany *Zygmuntem* od imienia króla Zygmunta I, który go odlać kazał. Kosztował on 40,000 złp. ówczesnych, a odlewał go Jan Bohem z Norymbergii, osiedlony w Krakowie. Na dzwonie wyobrażone są herby Polski i Litwy i stosowny łaciński napis. Artysta wybrał chwilę wyciągania nowo odlanego dzwonu na wieżę. Ludwisiak, Jan Bohem, stojąc na rusztowaniu, umyślnie na to przygotowanem, daje znak, aby dzieło jego podniesiono w górę i widzimy prawie całego *Zygmunta*. Wśród grona robotników, a najbliżej dworu, stoi zadumany i tęskny lutnista z lutnią, z której strunę, wedle podania, rzucił w roztopiony metal, gdy dzwon ten odlowano, aby brzmiał melodyjnie; obok niego pochylony kronikarz ze zwojem papierów,

śledzi pilnie każde poruszenie, ażeby chwilę tę zapisać na wieczną rzeczy pamiątkę. Dalej stoi biskup w pontyfikalnym stroju, w gronie kapłanów; pod wspianiałym baldachimem siedzi wspianiała i piękna królowa Bona, otoczona dworem, trzymająca przy sobie jedną z córek; obok niej Zygmunt stary, przejęty uroczystością chwili, opiera rękę na głowie małego Zygmunta Augusta. U stóp Bony siedzi nadworny trefniś, Stańczyk, słynny z dowcipu i przywiązania do króla. Wkrótce dzwon ten, uderzony po raz pierwszy, zwołuje mieszkańców starego grodu na modlitwę do której ich przez lat 360 już woła.

Obraz ten uderza niezmiernem bogactwem; takiego nagromadzenia figur znaleźć gdzieś indziej trudno; mniej śmiały i mniej doświadczony artysta nie dałby sobie rady. A co tu za siła, co za wspianiałość i świetność kolorytu—a jakie wykończenie szczegółów!

Z ostatnich obrazów Matejki największym i najznakomitszym—a jak wielu utrzymuje najznakomitszym ze wszystkich, jest *Bitwa pod Grünwaldem*.

Wicie o tém, że w r. 1410 różne plemiona słowiańskie, a przeważnie Polacy i Rusini pod wodzą króla Władysława Jagiełły i w. księcia litewskiego, Witolda, wystąpiły pod Grünwaldem do walki z Krzyżakami, którymi dowodził w. mistrz, Ulryk Jungingen. Matejko wybrał chwilę ostatnią, gdy szeregi krzyżackie uległy przewadze przeciwnika i resztki już ich zaledwie słabo się bronią. Witold nie zwraca na nie uwagi; wie, że i one wkrótce polegą. Zagrzany walką, uniesiony radością zwycięztwa, na przepysznym rumaku pędzi przez środek pobojo-wiska, aby co prędzej zwiastować królowi wesolą nowinę.

Podczas gdy wielki książę przedziera się jak błyskawica z orężem wzniesionym w górę, dokoła niego krwawa się kończy już walka. Na prawo w. mistrz na białym koniu, w bogatym stroju, napadnięty przez dwóch na wpół nagich ciurów, zasłania się jak może cienkim rapirem. Widać jednak, że ta broń pęknie, topór polski pierś mu rozetnie i wielki mistrz runie na ziemię. Przed kręciem Witoldem Jan Żyska, ślepy na jedno oko, oparkszy nogę o komandora Tuchol-



skiego, podnosi miecz, którym Niemca drugocze. W górze, Marcin Wrocimowski dmie w róg bawoli, zwiastując zwycięstwo; obok niego Zawisza Czarny przebija włócznią Krzyżaka; dalej, jakiś Tatar, walczący w szeregach litewskich, widząc, że pod Markwardem komandorem Brandenburskim, koń się powalił, zarzuca mu zręcznie pętlę na szyję i ciągnie go ku sobie; głębiej jeszcze widzimy Jana Długosza, ojca naszego kronikarza, Domarata z Kobylan, Henryka Plauena komtura świeckiego; Krzysztofa, biskupa lubeckiego; w samym zaś środku, u góry, pod lasem, stoi na koniu Władysław Jagiełło w orszaku złożonym z Korybuta, Oleśnickiego, Trąby, Ziemowita i innych rycerzy.

Przed samym Witoldem, za plecami w. mistrza, na ostatnim planie, po prawej stronie obrazu, pali się Tannenberg, gdzie Krzyżacy stali niedawno obozem. Pomimo pozornego zamieszania, bez którego bitwa ani w rzeczywistości ani na obrazie obejść się nie może, treść tego utworu Matejki jest tak jasna, że żadnych objaśnień nie potrzebuje. Witold jest tu postacią tak wybitną, że oko widza najpierw na nią pada i widzi, że to wódz i zwycięzca. Obok niego grupują się postaci, z których każda ma swój własny charakter i wykończona jest najdoskonalej. Rysunek Matejki, zawsze śmiały i pewny, tu jeszcze śmielszym się okazał; koloryt bogaty, wszystkie najświetniejsze barwy łączą się tu harmonijnie. Jakie to jedwabie, jakie złoto, jakie klejnoty! A zbroje! Hełmy, koleczugi, misiurki, włócznie, kirysy, buzdygany i miecze! A konie! Zdawałoby się, że Matejko nigdy nie nie malował prócz koni!

Krytycy uznali, że mimo różnych usterek, bez których żadne dzieło ludzkie obejść się nie może, *Bitwa pod Grinwaldem* jest arcydziełem, nie mającém sobie równego w historii sztuki malarskiej nowoczesnej—i dlategośmy się tak długo nad niem zatrzymali. Ale co znaczy opis, choćby najszczegółowszy i najprawdziwszy?..

Prawie wszystkie te obrazy były ozdobą nie tylko naszych, ale i zagranicznych wystaw i Matejko dostał już za nie niejednego medal, co nam, jako jego rodakom, prawdziwą chlubę przynosi.

Obok tego mnóstwa obrazów, niestrudzony nasz mistrz odtworzył całą seryą rysunków, przedstawiających znanych z walk napastniczych książąt szlązkich i litewskich—i w ogólności rycerzy z zamierzchłej epoki naszych dziejów. Postaci te uderzają taką szczególną barwą i tak odrębną cechą, jak gdyby się umyślnie zjawily dla zaświadczenia tego, co najdawniejsi kronikarze o nich głosili. Pomimo prostej a niekiedy nawet i niezgrabnej odzieży ich i uzbrojenia, przemawiają one do duszy jakimś uroczystym, niesłyszczanym dziaśią językiem... takim, jak te stare mury, baszty i wieżycy, które artysta z takim zamiłowaniem odtwarza.

Obok prac coraz to nowych, Matejko znajduje czas na przewodniczenie młodemu pokoleniu, które się pod jego okiem kształci w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, oraz w muzeum techniczno-przemysłowem p. Baranieckiego.

Nieskończylibyśmy doprawdy, chcąc dać pojęcie o wszystkich zasługach jego i o tych dobroczynnych promieniach, jakie geniusz jego rozacza dokoła; powiemy już tylko to, że gdybyśmy dzieje naszego malarstwa porównali do widnokręgu, wówczas powiedzielibyśmy, że Matejko na nim to—słońce! Ach, jaka wdzięczność należy się od nas Bogu, że nam takie słońce na niebie sztuki zapalił—a jaka cześć Matejce, że tak rodzimym blaskiem na niem świeci!

Jaskółka.

## Piosnka przy huśtawce.

(Dla Maniusi J.)

Buj... buj... buj...

Pilnuj ty mnie, Józiu mój!  
Pilnuj mię, braciszku drogi,  
Nie daj złamać ręki, nogi;

Buj, buj, buj,  
Trzymaj, Józiu mój.

Jak to miło lecieć w górę,  
Jak ptaszyna w niebo—w ohmurę;

Buj... buj... buj...

Trzymaj, Józiu mój!  
Potem ty tutaj usiedziesz,  
Jak skowronek fruwać będziesz,

Buj... buj... buj...  
 Trzymaj, Józiu mój.  
 Ja też dopilnuję ciebie,  
 Nie dam spaść—ni zostać w niebie,

Buj... buj... buj...  
 Trzymaj, Józiu mój.  
 A choć pójdziesz od huśtawki,  
 Do nauki, lub zabawki,  
 Strzeż mię, jak stróż anioł mój,  
 Buj, buj, buj.

*Jaskółka.*

## RYCERZ BŁĘKITNY.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

PRZEZ **Teresę Jadwigę.**

*(Dokończenie).*

Wojewoda nie zauważył wzruszenia, jakiego doznała Ludwinka, ale nie uszło ono baczości Rózi; zaledwie próg przestąpiły, zbliżyła się ona do siostry i kładąc rękę na jej ramieniu, rzekła:

— Ludwinko, kto to ten rycerz błękitny? ty coś wiesz, ty coś ukrywasz przedemną; może to on...

Ludwinka spuściła oczy, zmieszała się widocznie.

— Ja nic nie wiem, wierzaj mi... nic ci nie mogę powiedzieć... wszakże nie długo tu będą, zobaczysz wtedy.

Rózia spłotła obie ręce.

— O! gdyby to był Wacław! — zawołała; — lecz nie, to być nie może, nie zasłużyliśmy na takie szczęście; odepchnęliśmy go tak okrutnie... — Tu głowę zwiesiła na piersi i łza wielka, cicha, spadła z jej oczu.

— Gdybyś ty wiedziała, Ludwinko, com ja wycierpiała od tego dnia — dodała ciszej — jakie wyrzuty robiłam sobie i robię ciągle, zem ci odradziła, abyś prosiła za nim dziadunia; może byłby dał się przebłagać...

Ludwinka odwróciła się do siostry, objęła ją ramieniem i czule uściśnęła.

— Nie płacz — rzekła—może to on przybywa; trzeba się zająć wieczerzą, bo goście, co do nas jadą, głodni pewno.

Rózia otarła łzy.

— Chodźmy — szepnęła i poszły obie.

Właśnie załatwiły się w kuchni i dążyły do izby, by przystroić się nieco, kiedy znowu dał się słyszeć na gościńcu tentent, tym razem wszakże o wiele głośniejszy.

Rózia i Ludwinka, zapomniawszy o przebraniu, wypadły na ganek, spojrzały ku drodze i obie zarumieniły się... Tam zdala na przeciw nich widać było kilku rycerzy w szyszkach żelaznych, z tarczami i kopiami; konie ich rżały, szable dźwięczały, jechali równo parami, a przodem postępował jeden, ten na szyszaku miał wstęgę błękitną, swawolny wietrzyk igrał nią dowolnie.

Dziewczętom serca zabiły.

— To pewno rycerz błękitny — szepnęła Ludwinka i dłonią serce przycisnęła.

— Pewno — odparła Rózia.

Tymczasem zbrojni goście zbliżyli się do mostu, brama była już otwarta na ich przyjęcie; nie zatrzymując się nigdzie, wjechali wprost na dziedziniec.

Teraz twarzom ich można się było przypatrzeć, wszyscy byli młodzi i dorodni; ale ten, co przodem jechał, był bardzo błądy. Ludwinka i Rózia postąpiły do wschodków, rycerze podnieśli ręce ku hełmom, na znak pokłonu.

— Ludwinko, to Wacław—szepnęła drżącym głosem Rózia i zbiegła ze wschodów.

Ludwinka za nią podążyła.

— Tak, to Wacław—odparł ten co jechał przodem i uderzywszy konia ostrogą, zbliżył się do dziewcząt, poczem się zsunął z siodła i objął najprzód Rózię, potem Ludwinę ramieniem, ale tę ostatnią dłużej zatrzymał w objęciu.

— Aniele mój zbawczy — szepnął.

Ona uśmiechnęła się.

— O jakżem szczęśliwa—odparła, poczem wysunęła się z objęć brata.

— Róziu—rzekła—podaj mu ramię i wprowadź na ganek; tych panów poproś także; ja do dziadunia pójde uprzedzić go.

I nie czekając odpowiedzi, zwinna jak ptaszek, odleciała do izby.

Wojewoda wystrojony w paradny nowy kontusz, siedział właśnie w swej alkowie zadumany chmurnie. Losy kraju obchodziły go żywo, więc w pierwszej chwili odebrana wiadomość o zwycięstwie odniesionem, o za-



wartym pokoju, ucieszyła go serdecznie, ale teraz wnuk stanął na pamięci i myślał, gdzie on się obraca, jak radzi sobie, czy nie cierpi niedostatku? Zachodzące słońce oblewało purpurowém blaskiem siwą jego głowę i uwydatniało dwie głębokie zmarszczki, co wzdłuż jego czoła się narysowały; wtém otwarły się drzwi i ukazała się w nich Ludwinka, jasna, promienna, jak posłanniczka szczęścia.

Chmurne czoło dziadunia nie przestraszyło jęj; zbliżyła się do niego cichutko, przyklękła u nóg jego i położywszy białą swą dłoń na splecionych jego rękach:

— Dziaduniu—rzekła—rycerze już przyjechali.

Wojewoda ocknął się z zadumy, spojrział na wnuczkę i uśmiech goryczy skrzywił mu usta.

— Oj dziewczęta — rzekł wstrząsając głową—wszystkie wy jednakie...—Tu westchnął i chciał się dzwignąć z krzesła, lecz Ludwinka zatrzymała go.

— I rycerz błękitny jest z nimi—szepnęła błagalnym wzrokiem patrząc w oczy dziadka.

Wojewoda pogłaskał jęj złotą główkę.

— Cieszysz się, że zasiądziesz do jednego stołu z bohaterem — rzekł tonem łagodnym.

— A wiesz, dziaduniu, kto on?

— Dowiemy się zaraz, sam się nam przedstawi.

— Kiedy ja już wiem — odparła Ludwinka; — czy ci powiedzieć, dziaduniu?

— No któż?

Ludwinka podniosła znowu błagalne spojrzenie na dziadka.

— To Wacław — szepnęła wreszcie.

— Wacław?— powtórzył wojewoda i porwał się z krzesła i w jednej chwili był już na ganku, za nim wbiegła Ludwinka.

Rycerze stali jeszcze przed domem, właśnie posiadali z koni i oddali je pachółkom, którzy zwabieni tententem pośpieszyli na dziedziniec, domyślając się, że wyczekiwani goście już przybyli.

Wacław, trzymając Rózię za rękę, przedstawiał jęj kolejno towarzyszy, gdy wojewoda z Ludwinką stanęli na ganku.

Spostrzegłszy dziadka, Rózia i Wacław pobledli; ona teraz dopiero przypomniła so-

bie, że jęj z nim mówić nie wolno, on lękał się powitania; puścił rękę siostry i blade, drżący, zwrócił się do stojących na ganku, postąpił kilka kroków i padł dziadkowi do nóg.

— Czy przyjmiesz mię dzisiaj w progi swego domu? — zapytał nieśmiało.

Ale wojewoda nie odrzekł, tylko pochylił się ku niemu, podniósł go i do serca przycisnął. Dopiero kiedy pierwsze wzruszenie minęło, dopiero wtedy podniósł wzrok w niebo i rzekł:

— Panie, dzięki ci, żeś mi go oddał.

Następnie zwrócił się do rycerzy, przypatrujących się tej scenie powitania ze łzami w oczach i zaprosił ich do domu. Tam dopiero, kiedy już wszyscy zaznajomili się ze sobą, kiedy zasiedli do wieczerzy, Wacław opowiedział, jakim sposobem dostał się na pola Chocimskie.

— Jeżeli dzisiaj jestem tutaj, jeśli sumienie mam oczyszczone, nie moja to zasługa, ale kogoś innego — rzekł patrząc tkliwie na Ludwinę. Tu począł opowiadać, jak odepchnięty przez dziadka już postanowił do Niemiec ujechać, gdy go choroba zatrzymała; jak niespodzianie zjawila się u jego łoża Ludwinka, lecz on odepchnął ją szorstko; jak ona niezrażona nie odeszła; jak całą chorobę troskliwie go pielęgnowała, a gdy przyszedł do zdrowia, nawracała i dodawała otuchy, aż nakoniec wymogła na nim przyrzeczenie, że gdy pierwsza sposobność służenia krajowi nadarzy się, on wstąpi w szeregi rycerskie pod obcem mianem i póty nazwiska swego nie odkryje, póki krwią własną winy nie zmaże.

— Niebawem dowiedziałem się — ciągnął dalej — że hetman Chodkiewicz pośpieszył pod Chocim, więc pożegnawszy Ludwinę, podążyłem do stolicy, kupiłem zbroję i konia, poczem dotarłszy do samego króla, wyznałem mu com przewinił i jak chcę grzech mój zmazać. Prosiłem go o pozwolenie służenia krajowi, a on nie tylko, że mi przebaczył, ale dał jeszcze list bezpieczeństwa. Zaopatrzony w takowy, dostałem się bez przeszkody do Chocimia, tam w nocy przekradłem się do lasów pobliskich, z tych do wozów, brońących obóz z jednej strony w miejsce wałów. Dalsze me dzieje już wam znane z listu

hetmana, walczyłem jak umiałem, krwią własną zmyłem dawne grzechy. — Tu umilkł, wyciągnął dłoń do siedzącej obok niego Ludwinki i uściśnął ją wzruszony. — Jeśli tu jestem dzisiaj, jeśli rozgrzeszony, jeśli będę mógł jeszcze służyć ojczyźnie, twoja to zasługa — dodał po chwili — bo ty jak siostra wierna, kochająca, nawet winnego nieodepcnęłaś.

Ludwinka szczęśliwa, słodko wzruszona, podniosła pełen łez wzrok na brata i uśmiechnęła się do niego tkliwie.

— Nietylko mnie to zawdzięczasz, ale i dziadkowi — rzekła — bo on z pewnością wiedział o moich wycieczkach, a jednak nie zabronił mi ich.

— Tak jest, wiedziałem gdzie jeździsz co rano, powiedziała mi o tym Magdalena — odezwał się wojewoda; — nie miałem serca stawiać ci oporu, a nawet powiem, że odwaga twoja i miłość dla brata tak mię ujęły, iż od-tąd pokochałem cię bardziej jeszcze, bo nie mię tak nie ujmuje w kobiecie, jak serce; chodź, niech cię uściskam jeszcze.

Ludwinka zerwała się żywo z krzesła, podbiegła do dziadka, uklękła u jego kolan, a on na białem jej czole złożył pocałunek.

Tegoż jeszcze wieczora stara Regina i stara Magdalena uściśkały odzyskanego paniecia; nazajutrz rycerze pożegnali gościnnego wojewodę, lecz Wacław wedle życzenia hetmana pozostał w Sobotówce, a przy troskliwej opiece siostr i dziadka, wkrótce całkiem powrócił do zdrowia i znowu w skromnym dworku wojewody Żywickiego płynęły dni szczęśliwie, spokojnie i wesoło, i znowu twarze mieszkańców Sobotówki patrzyły pogodnie.

KONIEC.

## J E L E Ń.

Niedawno, opowiadając o psach i o wilkach, staraliśmy się dać młodym naszym czytelnikom niejaki wyobrażenie o klasyfikacji, wykazaliśmy też, jak pożyteczne jest w nauce to uporządkowanie licznych gatunków zwierząt. Klasyfikacja w zoologii, zarówno jak w botanice, zasadza się głównie na różnicach

i podobieństwach, które upatrujemy pomiędzy zwierzętami lub roślinami. I tak na przykład, patrząc na jelenia, przedstawionego na rycinie, spróbujemy go porównać do tych zwierząt, o których uprzednio mówiliśmy obszerniej. Najpierw wpadają nam w oczy wspaniałe jego rogi; u psów i wilków widzieliśmy tylko kosmate uszy. Rozpatrując się nawet pomiędzy rogatemi bydłętami, które znajdziemy w najbliższym naszym otoczeniu, ani u krów, ani u owiec lub kóz nie znajdziemy tak ozdobnie rozgałęzionych rogów. Bo też u jelenia co rok przybywa po jednej gałązce. W pierwszym roku życia i on także ma tylko dwa pojedyncze rożki na głowie, lecz te w roku następnym stają się podwójne, widełkowate, w trzecim potrójne, i t. d. aż w końcu na wierzchołku tych pięknych rogów gałęzistych wyrasta tak zwana korona, z trzech do pięciu końców sterczących złożona. Taką koronę ma jeleni na naszej rycinie. Otóż z tej wybitnej cechy wyprowadzimy gotową nazwę dla tego zwierzęcia i innych, które podobnym kształtem rogów się odznaczają, zaliczymy je do wspólnej rodziny *gałęzistorogich*.

Następnie uderza nas budowa nóg jelenia. Psy i wilki mają ostre pazury na palcach, stąd się nazywają pazurowatemi. U naszego jelenia palce objęte są w twardą powłokę, jakby w trzewiczek, a wiecie, że taka noga nazywa się kopytem u konia; ale u jelenia kopyt ten nieco odmiennie wygląda, bo jest na dwoje rozdzielony, przezwano go racicą. Podobne racice mają także krowy, owce, kozy i wiele innych zwierząt; możemy je wszystkie zaliczyć do jednego rzędu *racicowych*. Racicowe są wszystkie roślinożerne, to jest żywią się wyłącznie trawą i innemi pokarmami roślinnemi. Dla tego to zapewne Pan Bóg im nie dał pazurów, bo nie potrzebują chwytac niemi i rozdzierać słabszych istot, tak jak drapieżne zwierzęta, a za to, jeśli same wystawione są na napaść wilków, lub innych podobnych żarłoków, mogą w ostateczności bronić się twardą racicą i rogami.

Wszystkie zwierzęta racicowe nazywają oprócz tego odżuwającemi, a to dla tego, że mają odrębny sposób przerabiania pokarmu i żołądek odmienny, do tego zastosowany.



Każdy, kto widział na wsi krówki, odpoczywające po powrocie z pastwiska, zauważył zapewne, jak one zabawnie poruszają szczękami, wyraźnie żując coś w gębie, chociaż żadnej paszy przed sobą nie mają. Nie sądźcie jednak, ażeby te pocziwe bydła tak sobie, bez powodu, jakieś śmieszne miały przyzwyczajenie; one rzeczywiście gryzą i przeraabiają w gębie trawę, dawniej na pastwisku przelkniętą. Żołądek zwierząt odżuwających składa się z czterech części; z tych najobszerniejsza nazywa się *torbą* i leży najbliżej przełyku; bydle, pasąc się na łące, śpiesznie trawę rozgryza i nawpół tylko przeżutą pakuje do tej torby, z której pokarm przechodzi częściami do drugiej części żołądka, *czepcem* zwaną. Tam urabia się w gałkę i powraca powtórnie do gęby przez przełyk. Wówczas to zwierzę, odpoczywając, przeżuwa go dokładnie raz drugi i tą razą pokarm ześliną urobioną spływa już wprost do trzeciego żołądka, który się nazywa *księgami*, upatrują w nim bowiem podobieństwo do księgi z licznych kart złożonej. W czwartym żołądku, tak zwanym *trawieńcu*, odbywa się nareszcie właściwe trawienie, pod wpływem soku żołądkowego, który ma tę własność, że rozmiękcza i rozpuszcza wszystkie pokarmy. Zęby zwierząt przeżuwających ściśle są także zastosowane do ich sposobu życia; z przodu nie mają wcale zębów w szczęcie górnej, za to trzonowe po bokach są rozszerzone, ażeby mogły gnieść pokarmy, nakształt kamieni młyńskich.

Ale odbiegliśmy zupełnie od naszego jelenia, a jednak znajdzie się jeszcze nie jeden ciekawy szczegół do powiedzenia o jego oby-

czajach i sposobie życia. Dawniej, kiedy jeszcze w kraju naszym większe były bory, żyło w nich dużo jeleni i urządzano na nie wielkie polowania. Dziś już tylko gdzieś tam przebywają stada dzikich jeleni w obszerniejszych lasach w Galicyi, w Węgrzech i innych krajach europejskich, ale najczęściej napotkać je można w zwierzyńcach utrzymywanych przez monarchów, lub bogatych panów, gdzie rzadko bardzo na nie polują. Takie zwierzyńce znajduje się w okolicach War-

szawy, w Skierniewicach i zapewne nie jeden z czytelników naszych widział hodowane tam jelenie i pokrewne im danieli i sarny. Samica jelenia, zwana lanią, nie ma wcale rogów, co jej całkiem odmienną nadaje powierzchowność. Do tej rodziny należą także łosie i renifery; pierwsze mają rogi bardzo rozszerzone, nie są tak zgrabne i kształtne jak jelenie, przebywają w północnych europejskich krajach, u nas są jeszcze na Litwie, szczególnie w puszczy Białowieżkiej. Renifery żyją w okolicach bardzo chłodnych na północy, karmią się porostem, który sobie



Jeleń.

nawet pod śniegiem znaleźć umieją. Słyszeliście o tym zapewne, że Laponczycy używają ich do zaprzęgu i utrzymują jako zwierzęta domowe. Dawniej podobno próbowano także nieraz przyswajać jelenie, ale widać, że się to niezbyt dobrze udawało, kiedy tej hodowli nigdzie nie prowadzono na większą skalę. Król polski, August II Mocny, miał piękny zaprzęg z ośmiu oswojonych jeleni i lubił w tak osobliwej kalwakacie przejeżdżać się po okolicach Drezna.

M. J. Z.



## Z DZIEJÓW SŁAWY.

Jan Zamojski.

(Ur. 1 Kwietnia 1542 + 3 Czerwca 1605).

Był on czołem i szczytem senatu, twierdzą  
i murem królów, strażą prawa, obrońcą swo-

Jan Saryusz Zamojski, syn Stanisława, ka-  
sztelana Chełmskiego i Anny Herburtówny,  
jeden z najsławniejszych mężów w dziejach  
Polski, nie tylko przez wiekopomne czyny,  
najwyższe w kraju znaczenie, lecz nie mniej



Huśtawka.

bód, chlubą i światłem ziomków, powszechną  
prawych ucieczką, gromem bojów, postrachem  
nieprzyjaciół, pieśczętą nauk i uczonych.

(Szymon Starowolski o Zamojskim).

niepospolitemi zdolnościami, wszechstronném  
wykształceniem i głęboką nauką wyniósł się  
nad współczesnych. Początkowo kształcił się  
w Krasnymstawie, następnie na ukończenie



nauk udał się za granicę, przebywał w akademii w Paryżu, potem przeniósł się do Włoch, gdzie w najsłynniejszej onego czasu akademii w Padwie, w dwudziestym roku życia, pozyskał zaszczytny tytuł rektora. Spłacił to, pozostawiając pamiątkę piastownej godności w szacowném dziele: *O senacie rzymskim*, napisaném w języku łacińskim.

Za powrotem do ojczyzny r. 1565, gdzie go już sława uczoności poprzedziła, wszedł w poczet sekretarzów królewskich, a złożywszy dowody zdolności politycznych, obdarzony został dwoma starostwami. Uzyskawszy więctwość w narodzie, Zamojski najbardziej się przyczynił do elekcji Henryka Walezyusza i sam z innymi poselstwo do nowego króla sprawował.

Kiedy Henryk tron i Polskę opuścił, Zamojski miał wpływ przeważny w nowym obiorze króla Stefana Batorego, który zawdzięczając mu koronę, mianował go podkanclerzym, a następnie kanclerzem. Urząd ten nie mógł być trafniej powierzonym. Zamojski wprowadził znaczne ulepszenia w rządzie i prawach krajowych. Obok niepospolitych zdolności umysłowych, złożył on również dowody wielkiego męstwa, uczestnicząc w wyprawach wojennych Stefana Batorego.

W r. 1580, gdy hetman W. K. Mikołaj Mielecki złożył buławę, król oddał ją Zamojskiemu, który wstąpił się i następnie licznemi zwycięztwami.

Zamojski wdowcem już będąc, pojął w małżeństwo Gryzeldę Batorównę, synowicę królewską. Związek ten z panującym wzbudził zawiść i obawy zamachu na równość szlachecką.

Wspaniałość iście królewska, z jaką się te gody odbyły w Krakowie, stała się powodem niechęci dla Zamojskiego, a najbardziej się tćm gorszono, że kazał rozrzucić ludowi pieniądze, co było hojnością, monarchom li tylko przysługującą. Rozjątrzenie to bardziej jeszcze wzrosło, gdy Zamojski, ścisły prawa przestrzegacz i wykonawca, jako starosta krakowski, pojmać kazał i śmiercią ukarać Samuela Zborowskiego, potomka możnej

rodziny, który za zabójstwo skazany był na banicję.<sup>1)</sup>

Śmierć Stefana Batorego, pomimo intryg i niechęci, zastała Zamojskiego u steru rządu, a elekcya Zygmunta III była niewątpliwie jego dziełem. Gdy arcyksiężę Maksymilian jednocześnie ubiegał się zbrojnie o koronę, Zamojski, pobiwszy go na głowę pod Byczyną, osadził w Krasnostawskim zamku. Wspomniał a pełne ludzkości obejście się z Maksymilianem, jako jeńcem wojennym, ogólne pochwały zjednały szlachetnemu zwycięzcy w całej Europie.

Pod nowym panowaniem, Zamojski wstąpił się nowemi zwycięztwami. Po kilkakrotnie pobił Tatarów, podwakroć oswobodził Wołoszczynę, stając w obronie hospodara Mohyły; ostatniemi zaś dziełami wojennemi Zamojskiego były walki ze Szwedami w Inflantach.

Dziejopis Siarczyński powiada:—Nie było piękniejszego dnia dla chwały Jana Zamojskiego, jak kiedy na sejmie r. 1601 obrady zgromadzonych stanów od tego rozpoczęte były, że publicznie imieniem króla i narodu, dzięki temu mężowi za oswobodzenie Multan i Wołoszczyny złożono. Składały i powtórnice takoweż dzięki Zamojskiemu Stany Rzeczypospolitej r. 1603, gdy pod jego dowództwem, niemal w jednym roku całe Inflanty z częścią Estonii odzyskane zostały.

Nakoniec dnia 3 Czerwca 1605 r. w Zamościu, dokonał żywota pełnego chwały i pożytku dla kraju. Na kilka lat przed śmiercią, sam dla siebie ten skromny napis na nagrobek ułożył: „*Jan Zamojski, kanclerz i hetman Królestwa Polskiego, tu co miał śmiertelnego złożył.*”

<sup>1)</sup> Gdy przestępca na śmierć skazany ratował się ucieczką, natenczas ogłaszano nań banicję czyli wywołanie. Taki przestawał być obywatelem kraju, dobra jego przechodziły prawem spadku na krewnych, jakby po umarłym i wyjęty był z pod opieki prawa. Każdy urząd miał obowiązek, schwytawszy banitę, karę śmierci na nim wykonać, każdy prywatny człowiek mógł go zabić bezkarnie.



# DRAMAT NA PENSYI.

Komedyjka w jednym akcie i dwóch obrazach.

OFIAROWANA CZCIGODNEMU

Stanisławowi Jachowiczowi

w dzień jego urodzin d. 17 Kwietnia 1857 r.

przez

Zofię Hauke.

(Komedyjka ta, jakkolwiek napisana jeszcze w roku wyżej wymienionym, nigdzie dotychczas nie była drukowana. Przedstawione tu szczegóły o egzaminach publicznych wzięte są z rzeczywistości. O owym czasie we wszystkich szkołach odbywały się egzamina podobne, w obec licznie zebranych gości, po większej części rodziców i krewnych uczącej się młodzieży). *Przyp. Red.*

## O S O B Y:

NAUCZYCIEL utrzymujący szkołę chłopców.  
PANI X. Matka Franusia.

FRANUS	} Uczniowie.
IGNAŚ	
BOLEŚ	
WICUŚ	

GRZESIO syn odźwiernego.  
UCZNIOWIE.

(Rzecz dzieje się w mieście na prowincyi).

Teatr wyobraża ogród—ławka z boku pod drzewem.

## OBRAZ I-szy

SCENA I-sza.

FRANUS, WICUŚ I BOLEŚ.

(Franus i Wicus siedzą na ławce).

BOLEŚ (podbiega wesóło). Wiwat!... wypoczynek po nauce... niech żyją wakacye!...

WICUŚ (wstaje). Nie ciesz się tak bardzo, jeszcze egzaminu nie zdałeś, niewiadomo jaki stopień otrzymasz.

BOLEŚ. Ani wątpię, że nie najgorszy, ale co tam ja, nie o mnie dziś mowa, tylko o moim przyjacielu, o tobie, Franusiu. (Franus wstaje). Ty dziś ważną odegrasz rolę—otrzymasz najpierwszą nagrodę i ów zapis bogatego wuja.

FRANUS. Ignas ma do tego równe jak i ja prawo.

BOLEŚ. Tak, prawo do współzawodnictwa; ale żeby miał nad tobą pierwszeństwo, to niepodobna. Ty we wszystkiem wyżej od niego stoisz, co się zaś tyczy sukcesyi, wprawdzie Ignas jest równie bliskim krewnym twego wuja nieboszczyka jak i ty, ale wuj w testamencie wyraźnie zastrzegł:—że temu siostrzeńcowi zapisuje 30,000 rs., który w roku czternastym skończy czwartą klasę, mając celujące stopnie—a wiesz, Wicusiu, jaki niezwykły dodał warunek?

WICUŚ. Jaki?...

BOLEŚ. Oto, żeby i pismo miał piękne, wyraźne i w największym porządku utrzymywane zeszyty, warunek ważny w testamencie, chociaż mnie się zdaje, że wcale niepotrzebny.

WICUŚ. Zapewne, gdyby o ciebie lub o mnie chodziło... ale Franus nie ma się czego obawiać...

FRANUS. Ignas równie dobrze pisze, zdolności ma wielkie, bardzo biegły...

BOLEŚ (przerwa). W deklamacyi... bo śmiały, przytém nadzwyczajnie przytomny w odpowiedziach, słów mu nigdy nie brakuje, ale przyznajcie sami, że nie umie gruntośnie.

FRANUS. Temu zaprzeczam.

WICUŚ. I ja także, podobno nawet po Franusiu nie mamy lepszego ucznia w klasie, przynaj ty znowu, Bolesiu, że Ignas pracuje wiele...

BOLEŚ. Tylko na pozór, dla przypodobania się nauczycielom i przez próżność, aby nas wszystkich upokarzać swoją niby wyższością.

WICUŚ. Zazdrość, zazdrość, mój Bolesiu.

BOLEŚ. A jakie ma złe serce... ile razy go proszę: mój Ignasiu, pożycz mi swego zeszytu, bo ja ostatnią lekcję zapomniałem...

WICUŚ. To ci się często zdarza.

BOLEŚ. Prawda, ale czemuż, kiedy on taki pilny i zdatny, nigdy mi w niczem nie pomoże? tysiące prawi morałów i odprawia z kwitkiem. Franus zaś przeciwnie, zawsze mi każdą rzecz należycie wyjaśni, ułatwi i dopilnuje, bym porządnie odrobił zadana lekcję. To mi kolega, jakim każdy być powi-



nien. On bez żadnej wątpliwości otrzyma najpierwszą nagrodę i zapis.

WICUŚ. Nie ty o tćm wyrokować bćdziesz.

BOLEŚ. Pozwól mi liczyć na przysławie: *vox populi vox Dei*, opinia całej klasy jest tobie, Franusiu, przychylną, a nie Ignasiowi.

FRANUŚ. Przyjaźń twoja zanađto cię unosi, Bolesiu, ąziękuje ci za nią, jednakże, czyż twoje zdanie tak wytrawne, by na nićm polegać można?

BOLEŚ. Serce powinno nićm kierować, a powtarzam, u nas w szkole serca wszystkich kolegów i nawet nauczycieli, są dla ciebie wylane. Wiwat niech żyje Franuś, nasz prymus!

### SCENA II-ga.

CIŻ SAMI IGNAŚ.

IGNAŚ. Cóż to za zapaly przedwczesne Franuś wywołuje? Bolesć całćm gardłćm winny hołd pierwszeństwa mu oddaje, to już pewnym być może wygranćj.

BOLEŚ. Proszć nie ważyć sobie tak lekko mojego zdania, gdybym był cenzorem...

IGNAŚ (z ironią). Uniałbyś dać wyrok sprawiedliwy; tak jesteś sam biegły w nauce, tak przykładny, pilny...

BOLEŚ. ąziękuje, ąziękuje za koleżeńskie pochwały... bardzo do przycinków podobne.

IGNAŚ. Zbytek przenikliwości; tłómacz je sobie jak chcesz.

BOLEŚ. Ze znanego mi dobrze serduszka, same tylko słodycze płynąć mogą.

IGNAŚ. Na co kto zasłużył, to wywołuje.

FRANUŚ. Dosyć tego, nie traćmy czasu na sprzeczkę w tak ważnej chwili. Bolesiu, twoje zeszyty czy w porządku?

IGNAŚ. Ma ich tyle... to dopiero praca zebrać je razem; bćdziesz się miał czćm popisywać, Bolesiu, szczególniej kaligrafią...

BOLEŚ. Niedbam o ładne pismo; wielcy ludzie nigdy pięknie niepisali.

IGNAŚ. W tćm bardzo jesteś do nich podobny, o wielki Napoleonie gryzmoło!

BOLEŚ. O milutki Mefistofelesie!... nie otrzemasz pierwszćj nagrody, nie.

IGNAŚ. Zobaczymy...

FRANUŚ. Chodźmy, chodźmy, Bolesiu, Wicusi. (Odchodzi).

### SCENA III-cia.

IGNAŚ SAM (zamyśla się). Niewiem dlaczego mić czasami obawa przejmuje?... Wprawdzie, Franuś zasługuje na pochwałć, ale i moje cenzury przesłiczne... żeby nie ta nieśczęśliwa matematyka, fizyka, chemia, nawet historia... to sćk prawdziwy! za to, mocny jestem w językach, a w deklamacyi przewyższam go o wiele; na nią tćż najwięcej rachuję. Dalej śmiało!... postawa wykwintna. wymowa wyszukana, zadziwi publiczność— (zapala się), im dłużej mówię, tćm więcej wywołuję współczucia i podziwu... unoszę... porrywam publiczność i samych nawet nauczycieli. To wszystko przed ukończeniem egzaminu czyni wielkie wrażenie, każdy pyta o imię tak znakomitego ucznia. Publiczność, już zachwycona trafnością poprzednich moich odpowiedzi, żąda koniecznie, by mnie pierwszeństwo przysąđzone zostało. Nauczyciele nie mogąc się temu oprzeć, zgadzają się.., koledzy zaś... o nich niedbam... oni głosu nie dają. Dziwi mnie spokojność Franusia... ja zaledwie pokryć mogć niecierpliwość, która mnie drćczy, obawć, czy dostąpić tego tryumfu. Co za chwała... zwycięztwo, jeśli mi się poszczćści...

O, panowie koledzy, radzi czy nie radzi, bćdziecie musieli przyznać mi wyższość nad sobą.. ktoś nadchodzi, pójdźmy przejść się po ogrodzie.

(odchodzi).

### SCENA IV-ta.

PANI N. (wchodzi z przeciwnćj strony). Mogć więc nareszcie uściskać drogiego mego syna, ale gdzież on? nikogo tu niema, czyżby się już zaczął egzamin?... dla niego i dla mnie stanowcza chwila... tak młody, a już tylko na własne siły liczyć może.

### SCENA V-ta.

PANI N. I FRANUŚ.

FRANUŚ. Co widzę, matka, droga matka!... (całuje ją w ręce).

PANI N. Synu mój najdroższy!...

FRANUŚ. Niespodziewałem się dziś ciebie, matko.



PANI N. Przybyłam jak najspieszniej, aby cię uściskać i upewnić się o naszym szczęściu; niewątpię, kochane dziecko, że otrzymasz najpierwszą nagrodę i zapis.

FRANUS. Kto wie, kochana matko, czy mi los sprzyjać będzie, Ignas we wszystkim na równi ze mną stoi.

PANI N. Tak, ale położenie twoje jest wcale inne.

FRANUS. Prawda—rodzice Ignasia są matęjni—jam sierotą—jednak mając taką jak ty matkę, narzekać nie mogę.

PANI N. Poczciwe dziecko z ciebie, mój Franusiu, o jakże boleję nad tem, że nie jestem w stanie zabezpieczyć twojego losu. Przyszłość twoja jest w twoich rękach...

FRANUS. Tak, moja przyszłość odemnie samego zależy, ale ty, matko, wszakże los twój zabezpieczony, (matka żyje i ociera), masz emeryturę, na niczem ci nie zbywa.

PANI N. Niestety! lube dziecko, nic na świecie nie posiadam, prócz ciebie. Od roku żyję z pracy rąk własnych.

FRANUS. Boże! nigdyś mi o tem nie mówiła.

PANI N. Zatrwać swobodę dziecinną jest dla matki wielką boleścią.

FRANUS. Jednakże mój ojciec był urzędnikiem, równie jak ojciec Ignasia.

PANI N. Tak, mój Franusiu, ale ojciec Ignasia żyje dotąd, a przedwczesna śmierć ojca twego odjęła mi i całe szczęście moje i sposób do życia. Ojciec twój nie wysłużył lat przeznaczonych do uzyskania emerytury. Jednakże narzekać, uskarżać się na smutną moją dolę nie mam prawa. Bóg dał mi dobrego syna, dał mi zdrowie i wytrwałość, a ze starannego wychowania, które w młodości mojej odebrałam, dziś odnoszę wielkie korzyści.

FRANUS. Boże! ty pracować musisz, by opłacić moje nauki. Matko, to dużo kosztuje.

PANI N. Po śmierci ojca twego miałam z początku cokolwiek gotówki, otrzymaawszy jednorazowe wsparcie od rządu, później zaczęłam dawać lekcye w Warszawie, wieczorem zaś szyję, haftuję.

FRANUS. Oprócz opłaty szkolnej przesyłasz mi zawsze pieniądze kieszonkowe, jak za życia ojca.

PANI N. Są to chwile najmilsze dla mnie, gdy z pracy rąk własnych wynagrodzić mogę twoją pilność, mój Franusiu.

FRANUS. A ja nie domyślałem się, jakie jest twoje położenie i to mnie boli.

PANI N. Młody jesteś, nie możesz jeszcze trosk moich podzielać i jeśli ci teraz o nich mówię, to tylko dla tego, że już tu kończysz nauki, zabieram cię do Warszawy, mam jednak nadzieję, że wprzód odbierzesz nagrodę i zapis wuja, inaczej położenie twoje byłoby bardzo smutne; wszystkie moje zasoby wyczerpane, nie wiem czy zdołam utrzymać cię przyzwoicie w wyższej szkole.

FRANUS. Nie lękaj się o mnie, kochana matko, ja pracować będę i na ciebie i na siebie.

PANI N. W twoim wieku pracować trudno; najkorzystniej byłoby postępować dalej w naukach, z których już tyle odniosłeś korzyści.

FRANUS. Wszelkiego dokładałem starania, by nie zawieść nadziei twoich; na dowód pokażę ci wszystkie swoje zeszyty—mam je tu na dole w klasie, za chwilę powrócę. (Ochodzi).

PANI N. Dobrze moje dziecko, Boże, dopomóż mu, aby to serce, ta pilność i zdolności, kiedyś uznanie znalazły u ludzi i osiągnęły nagrodę na jaką zasługują.

FRANUS (powraca z zeszytami). Otóż jestem, kochana matko—widzisz (pokazuje jej zeszyty), kaligrafia, historia, geografia, wypracowania.

PANI N. Ślicznie, moje dziecko, bardzo dobrze... wprawdzie z listów twoich sądzić mogłam, że pismo twoje staranne i porządne, jednakże niespodziewałam się tego, co widzę ze wszystkich tych zeszytów; cóż to za piękna kaligrafia!

FRANUS. Dzięki Bogu nauczyciele ze mnie zadowoleni; nie mówię tego ażeby się chwalić, ale to pewna, że pracy i usilności dokładałem.

PANI N. Bóg pobłogosławi, mój synu, twemu przywiązaniu, uległości dla matki i pilności w naukach. Powiedz mi teraz, czy nie potrzebujesz czego.

FRANUS. O nie, droga matko.

PANI N. Jednakże.



FRANUŚ (nieśmiało). Jeśli nalegasz koniecznie, wyznam ci szczerze, że w tej chwili bardzoby mi się zdały wstążeczki różnokolorowe do związania moich zeszytów, bo mam ich zawsze kilka do każdego przedmiotu, ale taki wydatek...

PANI N. (z radością). Jest tak mało znaczący, że natychmiast ten sprawunek załatwię. Ztąd niedaleko widziałam sklepik; chodź ze mną, moje dziecię, przez ogród, u bramy czekać na mnie będziesz, podam ci przez kratę wstążeczki, a sama dopiero wieczorem tu powrócę.

FRANUŚ. Co, nie będziesz na egzaminie?...

PANI N. Nie moje dziecię, smutno mi na sercu, niemogłabym znieść widoku tak licznego zebrania, chodźmy więc.

FRANUŚ. Dobrze, kochana Matko. (Pani N. odchodzi).

FRANUŚ (do wchodzącego z przeciwnej strony Bolesia). Bolesiu, proszę cię, uważaj na zeszyty, ja tu zaraz powrócę, odprowadzam tylko matkę do drzwi ogrodowych. (Odchodzi).

## SCENA VI.

BOLEŚ, później IGNAŚ.

BOLEŚ (do odchodzącego Franusia). Dobrze, dobrze, ja tu pilnować będę, żeby który z malców się do nich nie dostał.

IGNAŚ (wchodzi). Jakiegoż to skarbu Boleś strzeże?...

BOLEŚ. Zeszytów Franusia, skarb to prawdziwy; patrz, co za pismo przesłiczne i jaki styl. (Pokazuje mu zeszyty, które Ignas przegląda). Nikt w naszej klasie ani piękniej, ani poprawniej nie pisze.

IGNAŚ. Nie ty o tym masz sądzić.

BOLEŚ. Nie na tym nie zyskasz, Ignasiu.

IGNAŚ. Zobaczymy.

*Głos za sceną.*

Bolesiu!

BOLEŚ. Głos przełożonego. Zaraz, zaraz panie profesorze, czego on chce odemnie? Franuś nie powraca... zeszyty...

*Głos za sceną.*

Bolesiu!

BOLEŚ. Idę, idę! doprawdy wszyscy dziś

głowy potracili, moja tylko jedna spokojna. (Odchodzi).

## SCENA VII.

IGNAŚ sam (przegląda zeszyty). W rzeczy samej nadspodziewanie ładne pismo, ale wypracowania daleko krótsze od moich, (kładzie je na ławkę), mój styl lepszy, co za dobór wyrazów, same kwiatki! prawda, że mi dotąd przekreślają połowę, zawsze jednak dosyć pozostaje, by wysokie dać publiczności wyobrażenie o moich zdolnościach. Ciekawym która godzina (wyjmuje zegarek), zegarek mój stał... dwunasta wybić dziś nie chce, wróćmy do ogrodu i obaczmy na kompasie, jak długo jeszcze trzeba będzie oczekiwać chwili rozpoczęcia egzaminu. (Odchodzi). (d. n.)

## ROZMAITOŚCI.

**Narodziny słońtka.** Z Ameryki doszły do pism naszych zajmujące bardzo wiadomości o słońtku, które tam na świat przyszło w pewnej menażeryi. Zdawałoby się na pozór, że nie w tym niema nadzwyczajnego, bo przecież narodziny cieląt, jagniąt, zrebiał, nie są żadną osobliwością; ale trzeba wiedzieć, że ze słońciem zdarza się to po raz pierwszy, gdyż jakkolwiek zwierzęta te od czasów niepamiętnych utrzymywane były na Wschodzie w stanie oswojonym, nigdy jednak w niewoli nie przychodziły im na świat male. W Indjach na przykład, słonie należą do zwierząt domowych, posługują się nimi tak samo, jak końmi i wołami, ale choćby kto miał liczną gromadkę takich oswojonych słońców, nigdy jednak nie dochował się młodych słońtatek, tak jak zrebaków lub cieląt i wszyscy byli przekonani, że one się nigdy w niewoli nie rodzą. To też gdy słonie robocze zdychają ze starości, do zastąpienia ich muszą łowić dzikie i oswajać; nikt jeszcze nie miał słońców swojego chowu, tak jak ma wszelkie inne zwierzęta domowe. Otóż z tego powodu narodziny słońtka w menażeryi w Ameryce, w mieście Filadelfii, takiego narobiły hałasu, że wszystkie dzienniki o tym się rozpięły i cały świat zajmuje się tym nadzwyczajnym zdarzeniem.

Małeństwo to ma wyglądać bardzo zabawnie; jak opisują naoczni świadkowie, pa-



trząc na nie, zdaje się, że się widzi dorosłego słonia przez szkło zmniejszające, ma bowiem zupełnie te same kształty w miniaturze. Co prawda słoniątko to tylko w porównaniu do starych słoniów może być nazwane małństwem, gdyż w godzinę po urodzeniu miało trzy stopy wysokości, a ważyło 213 funtów i pół. Mama jego, nazwiskiem Hebe, waży 7 tysięcy funtów z górą. Zabawny ma być widok ssącego zwierzątka, gdy przytulone do matki kręci z zadowoleniem swoją trąbką, w górę wzniesioną w kształcie litery S. Jest ono bardzo wesołe, ruchliwe, chód ma niezgrabny i ociężały tak samo, jak stare słonie, a trąbką ustawicznie wywija. Gdy matce przynoszą jedzenie, ono wszystko musi obmacać i obwąchać, ale nie próbuje jeść, poprzestaje na mleku, którego matka już w pierwszych dniach po urodzeniu dostarczała mu około dwóch garncy dziennie, później zaś ilość pokarmu widocznie się powiększała.

W téjże saméj menażeryi jest jeszcze kilkanaście innych słoniów; wszystkie okazują wielką czułość dla tego malca, a ile razy się z nim spotkają, głaszczą go i pieszczą swojemi trąbkami, wśród zabawnego chrzkania, sapania i dmuchania, co mu widoczną sprawia przyjemność, bo zaraz żwawiej zaczyna wywijać małą trąbką. Matka niezmiernie jest dla niego troskliwa; codziennie wypuszczana na przechadzkę, postępuje wolnym krokiem, nie spuszczać z oka słoniątka i trzymając je ciągle przy sobie. Pozwala je oglądać gościom zwiedzającym menażeryą, a malec jest śmiały i ciekawy; dotyka odziczy każdego, maca guziki, a nawet trąbkę wsadza do kieszeni i poufali się najzupełniej; ale niechże ktoś rękę nieostrożnie wyciągnie do niego, zaraz spotyka trąbę matki, dbałej o bezpieczeństwo swojego dziecięcia. Łatwo sobie wyobrazić, że właściciel owej menażeryi dobre na tém robi interesa, bo tłumy ciekawych zbiegają się zewsząd dla oglądania takiej osobliwości. Nowo narodzone słoniątko, które jest samieczką, miało podobno otrzymać miano Ameryki, proponowano także ze wszelkich stron rozmaite inne nazwy, mniej lub więcej wyszukane, ale ostatecznie utrzymało się pieszczotliwe imię Miss Lili, nadane jednogłownie przez dzieci filadelfijskie, które się

nacieszyć nie mogą tém zajmującym zwierzątkiem.

### Zadania liczbowe. (S. H.)

Z ośmiu liter 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8 nazwisko poety polskiego. Ustawiając litery jak następuje, otrzymujemy:

4, 8, 1, 2, 5, Rzekę w Europie.

7, 3, 1, 5, Narzędzie rolnicze.

4, 5, 2, Sztuczne wzniesienie ziemi.

4, 3, 1, 7, Wyrób małego owadu.

1, 8, 2, 5, Ważny czynnik fizyczny.

3, 4, 6, 5, Zwierzę domowe.

1, 3, 4, 5, Ptaka.

4, 8, 3, 1, 7, 5, Niewielką posiadłość.

2, 5, 1, 7, Miasteczko w Polsce.

6, 8, 1, Drzewo.

6, 2, 3, Rodzaj podatku.

1, 2, 3, 4, 8, 7, Ptaka.

1, 3, 7, Płyn.

4, 2, 3, 1, Ozdobę głowy.

7, 3, 1, Ptaka.

### S z a r a d a. (Z. P.)

Z pierwszego litera będzie,

W muzyce znajdzie się trzecie,

Drugie z czwartem szkodzą grzędzie;

Wszystko łatwo odgadniecie.

### Łamigłówka kwadracikowa. (J. W.)

W kwadraciku, złożonym z szesnastu podziałek, ułożyć 6 A, 2 K, 2 M, 2 O, 4 R, w taki sposób, ażeby odczytać w pionowym i poziomym kierunku:

1) Część drzewa.

2) Imię kalifa.

3) Ozdobę obrazów.

4) Mocny trunek.

### Z a g a d k a.

Wiele trzeba dachówek na dach nowy?

### Rozwiązania do Nru 21.

Metagramu: Fara—Kara — Mara—Para—Sara—Zara—Ara.



## Łamigłówek zgłoskowej.

Janów.  
Antonelli.  
Noe.  
Stutgard.  
Owoce.  
Budyń.  
Irbít.  
Emilciu.  
Sobór.  
Królewiec.  
Infanty.

Jan Sobieski—Wiedeń Turcy.

## Łamigłówek kryształowej.

K  
W A N  
W A R N A  
K A R P A T Y  
S Z A C H  
K T O  
Y.

## Odpowiedzi od Redakcyi.

Wincentemu S. Łamigłówka będzie drukowana, równie jak dawniejsza; obie są bardzo dobrze ułożone, musimy tylko wszystkich prosić o cierpliwość, bo mamy mnóstwo przygotowanych i wszystkie muszą następować po sobie kolejno.

Rózi W. Dziękujemy za przysłane zagadnienie, które chętnie zamieścimy. Łamigłówki trafnie odgadnięte.

Ryszardowi J. Wszystkie szarady i zagadki bardzo są dowcipne i gdyby nam tylko miejsca starczyło, wydrukowałibyśmy je niezwłocznie, ale musimy powtórzyć raz jeszcze, że ich mamy ogromny zapas i prosić o cierpliwość.

Treść.—Jan Matejko (z drzeworytem), przez Jaskółkę.—Huśtawka (wiersz) z drzeworytem, przez Jaskółkę.—Rycerz błękitny, powieść historyczna, przez Teresę Jadwigę, (dokończenie).—Jeleń, (z drzeworytem), przez M. J. Z.—Z dziejów sławy, przez Romana Gryfa.—Dramat na pensyi, komedyjka w jednym akcie i dwóch obrazach, przez Zofię Hauke.—Rozmaitości.—Łamigłówki i rozwiązania.

Szczygiełkowi. Zagadkę chętnie zamieścimy i to niezadługo, bo takich właśnie najmniej mamy; dołączony wierszyk jest troszkę za słaby, ażebyśmy go drukować mogli.

Mańci B. Dwa egzemplarze Pogadek wysłane. Jak to dobrze umieć na pamięć bajeczki Jachowicza; zaraz się odgaduje nasze zadania konikowe.

Stasi P. w Świsłoczy. Rozwiązanie wyborne, a nadesłana łamigłówka dobrze ułożona i wydrukujemy ją, jak tylko przyjdzie na nią kolej. W miejscu podróży w Tatry, przygotowujemy inne podróże i opisy kraju, które zapewne nie mniej się podobają kochanym naszym czytelnikom.

Pani H. R. List pani mocno nas zadziwił. Na zapytanie tyle tylko odpowiedzieć możemy, że wieść, o której pani wspomina, jest fałszywą i dziwaczną, nie powinna też była tak łatwo znaleźć wiary, ani takiej burzy wywoływać.

## Ogłoszenie.

Przypominamy prenumeratorom półrocznym i kwartalnym wczesne złożenie prenumeraty dla uniknienia zwłoki w przesylce Pisma.

## Ogłoszenie.

Dla prenumeratorów Wieczorów Rodzinnych są do nabycia w Redakcyi: **Pogadanki Naukowe przez Autorkę Wieczorów Czwartkowych**, za cenę zniżoną 30 kop., z przesyłką pocztową 40 kop., oraz **Wakacje Janka i Zosi**, tejsze autorki, kop. 75, z przesyłką pocztową kop. 85. **Podwieczorki u Jadzi przez Jaskółkę**, w ozdobnej oprawie, z kilkudziesięciu drzeworytami kop. 90, z przesyłką pocztową rs. 1.

Prenumerata wynosi: w Warszawie Rocznie Rs. 4 i kop. 10 na Szpital Dziecinny.—Kwartalnie Rs. 1 i kop. 2½ na Szpital Dziecinny.—Na prowincyi i w Cesarstwie z opłatą poczt: Półrocznie Rsr. 2 kopiejek 50 i 5 kopiejek na Szpital Dziecinny. — Za granicą Rsr. 6.—

Adres Redakcyi: Ulica Marszałkowska Nr. 77.

Дозволено Цензурою. Варшава, 14 Мая 188 года.—Redaktorka i Wydawczyni **Ludwika Hauke**

Czcionkami M. Ziemkiewicza i W. Noakowskiego, Krakowskie-Przedmieście Nr. 415.